

# Plamy na obrusie. Boże Narodzenie w Krakowie i na Florydzie.



**Bożena U. Zaremba**

Biały (na stół wigilijny nie może przecież być inny), lniany, z przepięknym ręcznym haftem makowskim. To jeden z ulubionych i bardziej hołubionych przeze mnie podarunków od mojej Mamy. „Będziesz miała na amerykańskim stole kawałek Polski”. Poza tym zdobyczny z czasów, kiedy takie skarby musiało się albo wystać w kolejce, albo załatwić. Zasługuje na to, żeby go co roku wypieścić – prać osobno w płynie do białych rzeczy, lekko nakrochmalić, suszyć na wieszaku, broń Boże nie w suszarce. Potem zwilżyć, zwinąć i na chwilę odłożyć. Tęsknię za instytucją magła, ale cóż, nie ma rady, trzeba prasować ręcznie, Zabiera mi to około godziny – każdy haft powoli i dokładnie obrysowuję żelazkiem.

Plama. Niezbyt zręcznie nalewalam czerwony barszcz. Ale bylam na siebie zla! Probowalam potem sprac szarym mydlem, traktowac wywabiaczem do plam, wybielaczem (niechetnie), ale slad zostal. W koncu dalam za wygraną. Czerwone plamy pojawiaja sie praktycznie co roku, a to z barszczu, a to z buraczkow czy brusznicy, ktore obowiazkowo podaje do kaczki w pierwszy dzien Swiat. Potem sa bezowe od kompotu z suszonych sliwek, a moze od makowca? Zielone od swiezych galazek sosnowych ze stroika, jasne, tluste od swiec. Plamki, jak koraliki na sznureczku, opowiadaja o tradycjach bozonarodzeniowych naszej rodziny.

Od poczatku Swiat spedzonych poza krajem staralam sie celebrowac polskie i rodzinne obrzedy jak najwierniej, choc nie zawsze jest to mozliwe. W wielu miejscach, gdzie mieszkalismy nieosiagalny byl mak albo karp, a mrozony jest przeciez zupełnie bez smaku. Pamietam, jak w Polsce stalo sie po karpia w kolejce - dlugo, czesto na mrozie i wietrze. Przywioza, czy nie przywioza? W koncu jest, ale sprzedawczyni od razu uprzedza, ze dostawa nieduza. Na jakies pietnascie osob przed nami zabraklo. „Cholera jasna!” kipi facet przed nami. „Co za banda!” oburza sie ktos inny. A moj Tato? Obroutil sie na piecie i pogodnie zaintonowal: „Byly rybki, nie ma rybek”. Zawsze pogodny i optymistyczny. Mama byla zdecydowanie bardziej napieta. No, bo mimo pomocy domownikow, przeciez tyle roboty - swiateczne porzadki, zakupy i tyle gotowania i pieczenia: makowiec, cwibak, pierniczki. Na szczescie karpem nie musiala sie specjalnie przejmowac, bo nalezal do obowiazkow Taty. Jakos zawsze go „zdobyl”. Potem wpuszczal do wanny na kilka dni. Raz na jakis czas trzeba bylo dolewac wody, zeby dostarczyc swiezą porcje tlenu - ryby tloczily sie pod kranem i chciwie lapaly strumien. Chowalam sie, jak szly na szafot....

Brak niektórych potraw zastapilam innymi tradycjami, ktorych w moim domu rodzinnym nie bylo. Wigilie zawsze rozpoczyna gwiazda muzyczna: jazzowa, czarowna interpretacja „Cichej nocy” w wykonaniu tria Andrzeja Jagodzińskiego. Czytanie z Ewangelii o przyjsciu na swiat Jezusa. Ale nie zawsze musi byc powaga. Na przyklad do kilku uszek, do farszu, chowam albo orzeszek, albo migdal, na szczescie. Ale radocha, jak sie komus takowy przytrafi! Potem zgadujemy, ile bylo wszystkich uszek. „91” mowi syn. „Mniej”, odpowiadam. „57” mowi corgia. „Więcej” ... Wigilijna wieczerza zawsze jest takze chwila podsumowania calego roku. Jakie sukcesy nas spotkaly? Co nas wzruszylo, zmartwilo, zachwycilo?







Znowu czerwona plama. Może od wina? W moim rodzinnym domu do Wigilii nie pijało się ani wina, ani innego alkoholu, który w ogóle rzadko gościł na stole. Kalifornia, nasz pierwszy przystanek w Ameryce, nauczył nas delektować się winem, które jest przecież częścią liturgii. Tak jak chleb - na naszym stole chałka, co dopiero z pieca wyjęta, błyszcząca i brzuchata! W czasie Wigilii zawsze tak, jak opłatek, łamiemy ją, nigdy kroimy.

Św. Mikołaj przychodził do nas w Polsce 6 grudnia, ale w Wigilię wypatrywałyśmy z

siostrą Gwiazdora, zawsze z dreszczykiem podniecenia, chociaż w czasach, kiedy wszystkiego brakowało, z prezentami było krucho. To często były książki, czasem jakiś kołnierzyk z kordonku zrobiony przez Mamę albo sweter czy szalik przez nas wydziergany. Dostawałyśmy też pomarańcze - w tamtych czasach rarytas. Do dzisiaj pachną dla mnie egzotycznie i noszą w sobie odświeżoną aurę. Jako dziecko nie mogłam się nadziwić, jak to możliwe, że za każdym razem przegapiłam Gwiazdora. Powiewająca na wietrze firanka i trzepocząca głośno okienna framuga dawały znak, że właśnie był i zostawił pewno pod choinką upominki. Dla naszych dzieci czar wiary w Św. Mikołaja dawno już zniknął, ale urok atmosfery niespodzianki jest zawsze obecny, gdy nagle, w jakiś magiczny sposób pojawia się przy drzwiach worek pełen prezentów.

Ręka boli mnie już od przyciskania żelazka, ale podziwiam finezyjne hafty. Jaka perfekcyjna robota! Przypominają mi się ozdoby na choinkę robione z aptekarską precyzją przez mojego Tatę. Dość wcześnie odszedł od zawodu architekta i właśnie do takich zajęć wykorzystywał swoje wspaniałe zdolności manualne i artystyczne. Z wydmuszek (ale przewracał oczami z zachwytem spijając jajko!) robił główki pajacyków, potem malował flamastrem roześmiane buzie, z gofrowanej bibułki robił misterne kryzy, a z kolorowego papieru różnobarwne czapki. Na czubku zawiązywał sznureczek i takie, jedyne w swoim rodzaju zabawki wieszaliśmy na choince. Po latach bibułka wypłowiła, wydmuszki się wykruszyły, dawno już z nich nic nie zostało. Na naszej amerykańskiej choince ozdoby własnoręcznie robione w czasach wczesnoszkolnych przez nasze dzieci uzmysławiają nam co roku, jak czas upływa.

Jeszcze ostatni rzut oka, czy nie przeoczyłam jakiegoś miejsca, potem ostrożnie składam obrus tak, żeby hafty nie wypadły na zgięciach. Złożony, wygłaskany, wypieszczony chowam - na następny rok.